



# MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

## Z wielkich dni.

Powoli zapadała pogodna noc jesienna po dniu 29 listopada 1830 roku. Wreszcie nadeszły ciemności i spowiły swym czarnym płaszczem cały świat.

Przed bramą pałacu Belwederskiego znużonym krokiem przechadzał się sztydłwach. Na barkach jego spoczęła odpowiedzialność za bezpieczeństwo wielkiego księcia. Z trudem snąc dźwigał ten obowiązek: niepokoiło go coś, bo z ust co chwila wyrwały mu się tłumione słowa modlitwy: — Hospodzi, pomiluj... pomiluj...

Intuicja nie myliła wiernego żołnierza. Z mroków i labiryntu uliczek tętniącej jeszcze życiem Warszawy wysunęła się nieubłagana śmierć i cicho, bezszelestnie, jak widmo, zawisła nad pałacem pod Błachą. Śpi spokojnie brat wielkiego cesarza Północy. Spokojnie! — mimo, że Naród polski jęczy pod knutem, że setki i tysiące tych, co czynem ukochali Ojczyznę, teraz, w kajdanach, zapełniają więzienia, że podeptano prawa Narodu...

Wielki książę, ten, co tak bezprzykładnie bezczęścił honor polskiego żołnierza z pod Lipska i Hanau, ufny w wiernopoddaną lojalność Polaków, śni bezpiecznie. Marzy o tem, jak sponiewierany, zamieniony w wierne sługi carskie Naród rzuci do stóp tronu Mikołaja, jak sam na nim zasiądzie... on! Konstanty! Śnij tyranie! Obudzi cię widmo śmierci.

Gwarno uczyniło się w parku Łazienkowskim.

Ocknęły się z długiej zadumy królewskie drzewa i wszczęły rozhovor — o wolności.

Tu: przed oknami carewicza.

Na szali przeznaczenia ważyły się losy męczeństwa Polski.

Ku niebu, wśród łez i brzęku kajdan, ulatuje jęk nieszczęsnej Ziemi: „Ach Pani! Jak długo każesz dźwigać ten krzyż?”

Stał się cud. Z krwią przelaną zamarłe nadzieje ożyły. Wolny Duch zanucił hejnał zmartwychwstania. Pieśń Wolności spotęgniała, sunąc od dworu do chaty, gromowładnej nabrała mocy i powstał Czyn Narodu. Dostyc już było przemocy, za wiele gwałtów i okrucieństw.

Spętane, zamknięte w klatce orły zapragnęły wolności. Wybiła godzina zemsty. Prysnęły hańbiące okowy. Wysoko i dumnie zatrzepotały mocarne skrzydła orląt. Niema już Nowosilcowa, niema Konstantyna.—Lecz co to? — Car grozi.

Na groźbę Naród groźbą odpowiada. Pamiętnego dnia 18 grudnia, w sali sejmowej, jeden potężny okrzyk „Niema Mikołaja!” obwieścił światu detronizację cara.

Naród się zbroił. Warszawa, to wiecznie bijące serce Polski, stała się olbrzymim warownym obozem. Paszcze armat i szance złowrogo uragały władcy z nad Newy. Armja powstańcza z każdym dniem rosła w siły i potęgniała. Tworzyły się nowe szereg, pułki, bataljony. Dźwięczały wesoło szablice, furkotały chorągiewki, tysiące stalowych bagnetów lśniło w słońcu. Wielka nadzieja rozpierała piersi. Wszystko, co żyło i czuło po polsku, zostało do głębi wstrząśnięte wypadkami nocy listopadowej. Na zew „Do broni!” zapłonęły żagwie czynu. Izba poselska, szlachta, mieszczenie, wieśniacy, cały lud polski składali swe mienie i życie w ofierze Ojczyźnie. Prześciganosie nawzajem w ofiarności: kobiety oddawały swe klejnoty, magnaci całe fortuny, a biedny chłop ostatnią szkapę wyprowadzał ze stajni i ze łzami radości ofiarował świętej sprawie. Gorąca wiara w to, iż tylko wśród grzmotu dział, przy szczęku szabel i bagnetów zostanie oswobodzona Ojczyzna, stworzyła zastępy bohaterów. Przeszło sto tysięcy narodu porwało za broń. Zadrżał car. Usłyszał głos z nad Wisły. Zrzuciono tyrana z tronu. Precz odrzucono jego łaski...

Gniowem strasznym zakipiał car.

Szczękają oręż, tętnią kopyta koni. Jęczy i drży Litwa pod ciężarem wrażej stopy. Płacz nad Losem Siostry—Korony. Dniem i nocą walą na zachód zastępy moskiewskie. Głucho dudnią armaty. To zemsta cara. 200.000 wojska i 600 armat ciągnie na poskromienie zbuntowanego Narodu. Niepokonany dotychczas wódz prowadzi te masy ludzkie.

O ziemio, ziemio polska! Ciężkie dla ciebie nastają chwile! Obficie twe łany zrosi krew ofiarna, niejedna łza spłynie. Tysiące walecznych lognie od wrażeń kul... przytul Ich, Ziemiol...

to Twój Obrońce. Niech Im się śnią sny tak wielkie, jak wielka była Ich miłość i wiara w Twe zmartwychwstanie.

Na polach bitew ważyły się losy Polski.

I znowu, jak ongiś pod Dąbrowskim i ks. Józefem, nieskalane i dumne powiewały orły białe.

Wszczęły się mordercze boje. Polała się obficie krew. Stosy trupów zalegały pobojo-wiska.

— Za naszą wolność... Płonęły wsie, w gruzy waliły się miasta, zniszczenie i śmierć czyhały zewsząd. Kolos rosyjski wściekł się, parł naprzód, każdy krok tysiącami ofiar znacząc; nurzał się we krwi i krwi ciągle łaknąc, coraz to nowe tysiące wojowników słał w bój. — Car mścił się.

Drogo kazali sobie Polacy płacić za każdą piędź ziemi. Odważni do szaleństwa, jak lwy, rzucali się w odmet walki. Z pogardą życia szli na ziejące kartaczami baterje i brali je. Jeden walczył przeciwko czterem i... zwyciężał. Już po raz setny dowiedli Ci mężni, jak to Polak bije, jak kocha kraj swój i jak wolność nad życie miłuje. Mordercze bitwy rozegrały się na polach Wawru, Grochowa, Wielkich Dembli, Igań. Podniesiony w obronie Ojczyzny oręż zaszczytne święcił triumfy. Za broń chwyciła także Litwa. Lasy żmudzkie zaroily się od powstańców.

W poźodze wojny stanęły Ruś, Wołyń, Podole. Pro Patryja!.. Jeszcze nie zginął!..

Huczą żałośnie armaty moskiewskie, zagłada ich wisi w powietrzu. Lecz oto car śle nowe posiłki. Ciągną niezliczone pułki artylerji, grenadjerów, karabinierów, jegrów. Nienaruszony jest jeszcze 22.000 ludzi liczący korpus gwardji carskiej.

Koncentrują się siły.

A wojsko polskie — choć pała żądzą boju — stoi bezczynne. Oto w tych tak ważnych dla powstania chwilach niedołęstwo wodza naczelnego najfatalniejsze sprrowadza skutki.

Daremnie genialny jenerał Prądzyński układa plany rozgromienia armji nieprzyjacielskiej, daremnie błaga Skrzyneckiego, aby wszczął kroki zaczepne. Ten człowiek, w którego rękę spoczęła najwyższa władza, wierzył w interwencję państw obcych i myślał o układach!

W dniu 26 maja 1831 roku wojska polskie zmuszone były przyjąć bitwą pod Ostrołęką. Krwawo zakończył się dzień. W nierozstrzygniętej walce 9.000 żołnierzy i trzy czwarte ogółu oficerów legło na placu boju. Szalona szarża artylerji konnej generała Bema uratowała nasze wojsko od zupełnej zagłady. Zwołana Rada wojenna, wśród okropnych jęków pobojo-wiska, postanowiła odwrót. Od tej chwili załamał się los powstania. Skoncentro-

wana armia nieprzyjacielska przystąpiła do oblężenia Warszawy. 300 dział bezustannie ziało ogniem i żelazem. Topniały szeregi obrońców. 90.000 żołnierzy wysłał Paszkiewicz do ataku przeciwko rozrzuconej na 16-kilometrowej przestrzeni 30,000 liczącej armji polskiej.

Dzielnie, jak lwy, bronią się „Dzieci Warszawy“. Oblężone szanice długo wstrzymują uporczywe ataki mas piechoty rosyjskiej. Długo — do ostatniego naboju, a potem... szablą i bagnetem... Szańcami Woli jenerał Sowiński dowodzi. Stary weteran, dobrze wie, iż mu tu zginąć przyjdzie. Postanawia umrzeć mężnie.

Trzy tylko bataljony bronią Woli, stawiając po bohatersku czoło dwudziestu kilku bataljonom nieprzyjacielskim. Nierówna walka wkrótce zamienia się w rzeź. Nikt z obrońców nie prosi pardonu. Sowiński do ostatniego tchu walczy na powierzonym mu stanowisku.

Pada wrzeszcze skłuty bagnetami, zbryzgany krwią, na lawetę stojącej obok armaty.

Tak zginął ostatni obrońca Woli, starzec siwowłosa, bohater wojen napoleońskich...

Moskale już nie mieli z kim walczyć, najważniejsza placówka została wzięta. Potem przyszła kolej na inne... Już drugie linie fortyfikacyjne zdobyte... Płoną przedmieścia stolicy. Żołnierz ostatkiem sił, z rozpaczą w sercu, walczy i ginie... Chwile stały się groźne. Przed oczyma stanęła, żyjąca jeszcze w pamięci, straszna rzeź Pragi. Można jeszcze było ocalić Warszawę. Należało uzbroić i pchnąć do walki mieszkańców, ale wódz naczelny zwątpił w zwycięstwo.

Warszawa kapitulowała. Wojsko, Rząd i ci z ludności, którzy nie chcieli zostawać w mieście, mieli je opuścić w przeciągu 48 godzin. Dnia 8 września, wśród ponurego milczenia, zwycięskie wojska moskiewskie zajęły stolicę Polski.

Los powstania był już rozstrzygnięty.

W niespełna dwa miesiące potem resztki armji polskiej, pod naporem wojsk nieprzyjacielskich, przekroczyły granicę pruską i... złożyły broń. Oręż, podniesiony w obronie wolności, legł u stóp Prusaka...

Żołnierz ze łzą w oku rzucał karabin i szedł na tułaczę życie, z nadzieją w sercu, iż wkrótce wróci i nowy o Polskę rozpocznie bój. Tak skończyło się powstanie.

Dziesiątki tysięcy mogił pokryło ziemię Polską, zewsząd wyglądała żałoba i łzy gorzkiej niewoli płynęły...

Obfitym był siew krwi obrońców honoru Ojczyzny, przesiąkała Ona każdą grudkę nieszczęsnej Ziemi. Wyrosły z Niej wolne Duchy, Olbrzymy — co rzucają ku niebu rozpaczliwe wołanie: Boże! — Jeśli chcesz, zetrzyj nas na proch, ale niech ten proch będzie wolny!...  
*Hake.*

## Pomniki przeszłości.

Jeżeli komukolwiek z was, czytelnicy, zdarzy się być gdzieś w zapadłym zakątku naszego kraju, gdzie nie słychać szumu i gwaru życia, gdzie mało co się zmieniło od czasów przedhistorycznych, gdzie, jak dawniej, szumią lasy, swobodnie hula wiatr stepowy, dokąd cywilizacja jeszcze nie dotarła i nie skaziła pierwotnych wierzeń i legend ludu, zwróćcie uwagę na kurhany i wały dawnych grodów, zwróćcie uwagę na kamienie z wyłobionemi na nich, czyto ręką ludzką, czy przez czas, dziwaczniemi znakami, a przeszłość daleka, ginąca gdzieś w pomrokach wieków ubiegłych, przemówi do was. Nie szukajcie wyjaśnień w pisanych komentarzach i książkach tego, co się kryje w tych kurhanach, w tych wałach, w tych nagromadzonych i Bóg wie skąd i jaką siłą przyniesionych złomach granitu. O wyjaśnienie zagadki zwróćcie się do ludu, sięgnijcie w głąb jego pierwotnej, takiej samej, jak za czasów dohistorycznych, duszy, a wytłumaczenie owych zjawisk samo powstanie w waszej świadomości. Przeszłość powstanie i przemówi do was językiem dawnych wieków, przemówi do was, skarżąc się, iż została zapomniana, zdeptana przez życie, iż się wyparli jej obecnie wszyscy, prócz ludu, który sięga czasami do głębi kurhanów, aby wydobyć stamtąd dawne wspomnienia i w swych dumkach złączyć się z przeszłością. Lud pamięta o niej. Opowiadania — jakie posłyszycie od niego — napelniają waszą wyobraźnię obrazami z czasów, kiedy to bohaterowie, co dziś żyją tylko w gminnych piosenkach, żyli i działali w rzeczywistości. A są to często postaci, o których głucho w historii; lud ma własną historję, własną tradycję.

Kiedy znajdziecie się wobec tych pomników przeszłości, nawiedzą was myśli i uczucia zgoła inne od tych, jakie was nawiedzają, gdy czytacie o nich. Przypomną się wam czasy, kiedy życie, tu w tych zaginionych miejscach, miało swój własny wyraz, swój oryginalny byt samoistny. Przypomną się wam czasy, kiedy to lud, wolny ongiś, zbierał się w zielonych i malowniczych gajach, aby ucześć dzień narodzin wiosny lub

pogrzebalną ucztą pożegnać zwłoki poległego wodza. Dzisiaj inne czasy. Przeszłość dziś kryje się uśpiona w głębi kurhanów i tradycji ludu.

Charakterystycznymi zabytkami minionych czasów ziem naszych są liczne i często spotykane na polach, wśród lasów i błot, osobliwe nasypy, wzniesienia lub wały, oraz ogromne głazy, często dziwacznej kształtu. Te ślady dawno minionej przeszłości najczęściej są nieznane światu naukowemu, gdyż nie przedstawiają, czasem tylko pozornie, większej wartości. Często gdzieś na łące lub pastwisku zadziwiają nas osamotnione wzniesienia, które wyglądają na ślady istniejących tu dawniej warowni, czy też innych dzieł rąk ludzkich. Czy te osobliwości naprawdę są zabytkami dawnych czasów, czy się utworzyły jedynie dzięki działaniu przyrody, trudno orzec. Oczywiście mam tu na myśli nie większe z tych zabytków, które są niezaprzeczalnym śladem pracy ludzkiej, lecz liczne, często nieznane, latem porośnięte bujną trawą, zimą niewidoczne pod pokrowcem śniegu wzniesienia, rowy, głazy lub inne osobliwości, zadziwiający nas swoim kształtem. Na powstawanie tych, wzbudzających zainteresowanie zjawisk składały się prawdopodobnie przyczyny natury wielorakiej, lecz lud wiąże z podobnymi rzeczami nader ciekawe opowieści i podania, które mogą służyć za dowody, stwierdzające zainteresowanie się ludu historją swej ziemi, oraz jego zapamiętanie, jego sympatje dla niektórych wypadków historycznych. Prawie każda wieś nasza posiada w swym ograniczeniu pewne osobliwe zjawiska, z którymi łączy często obszerne, przechodzące z pokolenia na pokolenie podania o treści najczęściej tragicznej. Obiektem takich legend może być wszystko: a więc drzewo samotne, stare, poszczepione przez pioruny; jakiś wał w lesie lub gdzieś na polu; zwykle zagłębienie wśród obszaru zupełnie równego; głaz olbrzymi, porośnięty mchem; jeziora osobliwego kształtu, wreszcie krzyże i mogiły. Wszystko to, co chociaż w setnym stopniu wykracza poza zwykłe okoliczności, w jakich lud dane zjawiska zwykł widzieć, podciągane bywa pod kategorię śladów przeszłości i staje się obiektem czy to uwielbienia, czy też pogardy lub strachu.

Należy jednak rozróżnić w podaniach ludu legendy o treści historycznej od opowieści, związanych z wierzeniami religijnymi ludu. Dziwna rzecz, że w wypadkach gdy lud samowolnie coś stwarza, zahaczając o religję, nigdy się nie uchroni od tego, aby nie pomieszać wierzeń, które dało mu chrześcijaństwo, z wierzeniami dawnymi, pogańskimi. Pomijając ten

szczegół, musimy stwierdzić, iż w opowieściach, związanych z krzyżami i mogiłami owoczesnymi, dominuje pierwiastek grozy, nlemało też miejsca w takich opowiadaniach zajmują wspomnienia jakichś czynów okrutnych, wprost nieczłowiecznych. Lud z symbolem wiary łączy często okropności lub jakiś zabobon. Wręcz przeciwnie ma się rzecz z innymi, może nawet rzekomymi pamiątkami, z jakimi lud wiąże nieraz całe zdarzenia o zabarwieniu czysto historycznym lub socjalnym.

Posłuchajcie tych podań ludu, które nigdzie nie są napisane, a dowiedcie się o jego nastrojach, o jego sympatji dla pewnych zdarzeń lub jednostek historycznych, porównajcie jego pojęcia z pojęciami waszemi, a będziecie mieli jasną odpowiedź na pytania, jak lud czuje? jak myśli? za kogo się uważa?

Wczujcie się w jego pieśni, tak nieraz smutne, a wycytacie w nich skargę, skargę na to życie, które z całą surowością daje jemu się odczuwać.

My, których wiadomości w tej dziedzinie pozwalają na to, abyśmy mogli zdać sprawę z tych pozostałości lat dawnych, często śmiejemy się z naiwnych wierzeń ludu, uragamy rzekomej jego głupocie, nazywamy go zabobonnym, ciemnym. Nie śmiejmy się z niego! Jeżeli bowiem zanalizujemy jego twórczość, która się właśnie wyraża w podaniach i pieśniach, zauważymy często prawdę, nagą prawdę, nieprzykrytą żadną obłudą, żadną ukrytą świadomością myśla, których to myśli jest tak dużo w życiu ludzi kulturalnych. Na tym punkcie ma lud bezwarunkowo pierwszeństwo: myśli jego i uczucia są jasne, przejrzyste, niedwuznaczne. To też za przedmiot swej twórczości lud bierze przeszłość, a jeżeli takowej nie zna, to ją stwarza, myśląc, iż tylko dawniej mogło być i było dobrze. W swych przypuszczeniach kto wie czy lud się myli? Co kryją w sobie dawne groby? Jakie było życie dawniej, dawniej w tem znaczeniu, jak to rozumie lud?

Dziś przeszłość nasza daleka, gubiąca się w mrokach minionych wieków, śpi, śpi spokojnie w głębi mogił—kurhanów, śpi zapomniana, porośnięta trawą; zdawałoby się, że już przestała istnieć i nikt nam nie opowie, nie przypomni o minionych dniach, lecz tak nie jest, chociaż pamięć o nich zaginęła w kronikach i historii. Pamięć o dniach minionych przechowuje i wiernie strzeże lud, opierając zaś swą twórczość na przeszłości, często się przyczynia do rozpowszechnienia zainteresowania się ludzi świątłych tą sprawą i wydobywania jej z pomroków cienia na światło dzienne.

A więc nie gardźmy naszym ludem, idźmy zgodnie z nim ręką w rękę, szanujmy naszą przeszłość i nie wyrzekajmy się jej. Szanujmy nasz lud, gdyż samiśmy wyszli z niego, jego dążenia niech będą także dążeniami naszeni!

k. V m.

## Wspomnienia z odwiedzin zamku.

W czasie ostatnich wakacyj miałem możliwość zwiedzenia ruin zamku radziłłowskiego w Nieświeżu.

Na pierwszy rzut oka spostrzegłem wielki nasyp gruzu, gdzieś w oddali zauważyłem sterczące ku niebu szczątki ścian, kominów. W miejscu, gdzie ongiś była sala balowa, w której szlachta zasiadała do uczt, do biesiad, w czasie których gwarzyła o turniejach, o bojach i o walkach, stoczonych z nieprzyjacielem..... dziś rosną—brzozy płaczące!

Cały dziedziniec zamkowy porósł mchem. Z bramy triumfalnej został jeno szkielec, wywołujący w widzu uczucie smutku, znikomości ludzkich wysiłków. We wschodnim rogu dziedzińca wznosi się wieża sromotnie opuszczona. Żałośnie spogląda na otaczające ją gruzy, a widzowi zdaje się, jak gdyby prosiła o litość Stwórcę nieba i ziemi. Opowiada widzowi o czasach dawniejszych, o historii zamku, o jego przeszłości.

Niegdyś, na miejscu tych gruzów, wznosił się zamek potężny, niezwyciężony. Dziedziniec jego był otoczony grubym murem, z którego wyglądały lufy armatnie. Wśród pól malowniczych, za murem, wiała się rzeczka. Do zamku prowadziła brama triumfalna. Smukłymi basztami strzelała do niebios. Spoglądała dookoła siebie i sięgała granitowym wzrokiem hen za rzeki, lasy, góry. Groziła swoją postacią każdemu najeźdźcy, który chciał zagarnąć i zniszczyć ziemię naszym praocjów.

Towarzyszką jej była wieża—dzwonnica. Ona to w czasie odniesionego zwycięstwa witała wracających z potrzeby rycerzy polskich.

Swemi dzwonami zanosila modły do Boga, dziękując Mu za opiekę nad Polską i zamkiem. W czasie napadu wzywała rycerzy do obrony. Żalose glosy jej dzwonów rozbrzmiewaly wtedy na trwogę, grały wojenną pobudkę daleko i szeroko.

Tak było ongiś w tym zamku. A dziś?... Mieszkańcami jego są kruki, wrony i sowy.....

O zamku! Przez tyle lat broniłeś granic naszej Ojczyzny i bezpieczeństwa jej obywateli.

Budziłeś postrach wśród najeźdźców.

Chroniłeś polską ludność w swoich murach. A dziś?... Złożyłeś broń u nóg przechodniów i jeno budzisz w sercach zwiedzających poczucie, pełne malancholji i dumy zarazem, naszej przeszłości narodowej.

K. Tofilewicz IV. m.

## Listopad.

Wszystko ma swój początek i koniec. Pęd, jakiego nabiera każdy organizm żywy w początkach swego istnienia, wznaga się, dochodzi do punktu kulminacyjnego, od którego rozpoczyna się zwrot, zmierzający ku zanikowi. W całości kształcie każdego życia można przeto wyróżnić kilka etapów, różniących się pomiędzy sobą stopniem dążności do rozwoju.

Weźmy pod uwagę naszą przyrodę. Mamy wczesną wiosnę. Niema jeszcze narazie żadnych widomych przejawów jej twórczej działalności: wszystko trwa w odrętwieniu, śpi. Lecz my wiemy, że te napozór martwe i, zdawałoby się, nic nie obiecujące góry, lasy, jeziora, rzeki posiadają w sobie dążność twórczą, ukrytą, która pozwoli im wzmóc się w siłę, dźwignąć się z uśpienia i rozwinąć się do maximum. Pod wpływem życiodajnych promieni słońca przyroda zmieni się do niepoznania. Najprostsze kształty zaczną się komplikować, urozmaicać, zmieniając wygląd z surowego, jakby skupionego w sobie, na pogodny, uśmiechnięty. Natura jest wówczas pełna życia, pełna siły twórczej, którą zużytkuje w okresie swego największego rozwoju, narazie zaś jest jakby rozmarzona, jakby zapatrzona wdal nieznaną, lubującą się sama w sobie. Stan taki jednak nie trwa długo. Będąc pokorną wyrokom najwyższym, prędko się decyduje i z całym impetem rzuca się do pracy, aby pozostawić po sobie plody swego istnienia, na których później, jak na fundamentach, wyrosną nowe twory — istnienia.

Mamy lato — okres, którego owocem jest wszystko to, na co się mogła zdobyć nasza przyroda w ciągu swego istnienia. Lecz przyroda nie wie o swem przeznaczeniu, a każdy organizm żyjący wzdryga się na myśl, że może przestać istnieć. Nie wiedzą więc trawy i kwiaty, co im gotuje ślepy los, i chociaż w danym okresie osiągnęły już najwyższy stopień rozwoju, chociaż już niczego nie mogą się spodziewać od życia, nie chcą się pogodzić z losem, odpędzają od siebie myśl o upadku i śmierci, a dobywają ostatnich sił, chcąc podtrzymać w sposób, że się tak wyrażę, sztuczny dogorywające życie. Lecz próżne wysiłki, impuls roz-

woju przekroczył już swój zenit, a życie popłynęło w odwrotnym kierunku. Próżno tedy czepiać się każdego oparcia, próżne wysiłki, by się podźwignąć — są to tylko chwilowe odruchy nieświadome, nie mające znaczenia. Katastrofa już bliska. W oblicze przyrody, już przestarzałej, podniszczonej życiem, nie nadającej się do obecnych jego warunków, tchnie swym lodowatym oddechem genjusz śmierci i tragiczny koniec nastąpi.

Porwane wichrem, wyniesione w górę i rzucone gdzieś daleko liście zginą; uwiędnię trawy i kwiaty — przyroda pozbędzie się swej barwnej niedawno jeszcze okrywy; uleci z nią nadzieja, że coś jeszcze jednak da się zrobić, nie pozostanie nic — jeno świadomość śmierci. Listopad ostatecznie pozbawia iluzji.

Niejasne z początku, dalekie myśli o śmierci staną się coraz wyraźniejszymi, przemawiającymi z całą stanowczością i grozą. Listopad jest wstępem do snu zimowego, jest ostatnim jakoby etapem życia twórczego. Widzimy wprawdzie czasami i w listopadzie kwiaty, lecz nie są to twory bujnego, rwącego naprzód życia. Jakże są odmienne od kwiatów wiosny kwiaty jesieni! Gdy pierwsze są stwierdzeniem pulsującego pełnym tętnem życia, drugie są wytworem resztek tego życia — są to niby odruchy ginącego człowieka, niby ostatni ceglasty rumieniec na licu gasnącego suchotnika.

Patrzac na kwiaty jesieni, nie doznajemy wrażenia, podnoszącego naszego ducha, napełniającego nas odwagą i chęcią do czynu, lecz — przeciwnie — odczuwamy smutek, żal za tem, co minęło, i obawę przed niepewną, bo nieznaną przyszłością.

Jak ginący, kiedy się chwyta każdego sposobu ratunku, wzbudza w nas uczucie grozy i bezsilnego żalu, tak i odruchy zamierającej w listopadzie przyrody budzą w nas tylko smutek i świadomość nieuniknionego przeznaczenia. Pod bezlitosnem kołem toczącego się naprzód życia wszystko musi ulec zagładzie.

Lecz czy to już koniec ostateczny? — nie! nic w świecie nie ginie. Chociaż całość, jako taka, uległa rozkładowi, nie przeminie jednak, nie pozostawiwszy nic po sobie; na tych pozostałościach wyrosnie nowe życie, choć może w odmiennych nieco kształtach, aby znów, z kolei rzeczy, przejść przez wiosnę, lato, pożegnać się z nadzieją w listopadzie i — zginąć.

Wypadki następują po sobie w nieprzerwanym ciągu kolejności i odmian. Tok wszechżycia jest stały i odwiecznie niezmienny, wszakże to, w czym życie się wyraża, przejawy życia, nie zdają sobie sprawy z ich obecnego położenia względem kresu egzystencji. Życie toczy się, jak planeta, po ściśle określonej linii, istoty zaś żyjące, chociaż posiadają pewien zakres, w obrębie którego mogą działać samodzielnie, składają się — nawet

wbrew swej woli i świadomości — na całość tego życia i muszą się podporządkowywać jego ogólnemu biegowi, muszą kroczyć po szlaku, wytkniętym przez logikę wszechżycia, przez jego odwieczne, nie cierpiące sprzeciwu, prawa.

W życiu jednostek i w życiu społeczeństw są także wiosny, lata, jesienie. Każdy człowiek ma swój maj i listopad: podobnie jak wszelkie rośliny, budzi się do życia w początkach swej wiosny, w maju jest ubrany, jak drzewo kwiatami, w szatę marzeń, iluzji; formuje się, gromadzi siły, aby je później zużytkowywać w pracy twórczej. Lecz przyjdzie jesień, a z nią nieunikniony listopad, podczas którego pozbędzie się człowiek wielu ze swych nadziei, swych marzeń o dokonaniu zamierzonych czynów, ziszczania się snów młodości.

Po raz pierwszy zetknie się z tą siłą, która targnie nim, jak jesienny wicher drzewami, zerwie z niego srebrne liście wiośnianych złudzeń i pozostawi bezbronny wobec zbliżającego się kresu. Nie każdy rok ma jednakowo czarowną wiosnę, jednakowo gorące lato; nie każde życie posiada dni szczęśliwych tyle, aby je z wiosną w przyrodzie porównać było można. Ta bowiem u niektórych jednostek jest podobna raczej do jesieni; ich lato jest bezpłodne i suche, wszakże bez żarów słonecznych; niestety! każde życie w listopadzie swego istnienia musi się pozbyć nawet i tych resztek nadziei, które posiada — listopad odbiera wszystko. Całość życia, w najrozmaitszych jego przejawach, składa się z szeregu dających się wyodrębnić etapów, te zaś z kolei rzeczy ulegają dalszemu podziałowi i tak bez końca. Życie rozwija się w pewnym kierunku dopóty, dopóki warunki, sprzyjające temu rozwojowi, się nie zmieniają; wtedy musi nastąpić albo radykalna zmiana lub też upadek, zanik, ewentualnie przekształcenie form życia, stosownie do zmienionych warunków.

Widzimy cały splot rozmaitych przejawów życia, wzajemnie na siebie oddziałujących, uzależnionych od zjawisk poprzednich i warunkujących następne. Gdzie jest początek i gdzie koniec tego ciągu, nie wiemy, lecz pewne jest to, że każdy, najdrobniejszy nawet czyn w tym ciągu ma swoje znaczenie, że spełnia jakąś rolę w całokształcie zbiorowego istnienia.

Życie i rozwój poszczególnych narodów nie jest przejawem zupełnie samodzielnym, biorącym początek tylko z samego siebie, a nie związanym z całością życia wogóle; przeciwnie, jak każdy przejaw życia, wchodzi one w jego skład i podlega prawom ogólnym.

Świetny rozwój albo upadek — maj lub listopad w życiu narodów — nie biorą początku same z siebie. Jak słońce budzi do życia rośliny, ubiera je kwiatami i następnie, odchodząc, rzuca na pastwę mrozu i wichrów, tak potrzeba danej epoki, ko-

nieczność historyczna wznosi i rujnuje państwa, budzi z uspienia narody, powołuje do życia i gasi poszczególne istnienia; wszystko to jest uzależnione od linii wytycznej życia, od nieublaganej jego logiki. Każdy z narodów, dziś już nie istniejących, każda z organizacji społecznych, która już zakończyła swój żywot, w ciągu swego istnienia miała z pewnością wiosnę, lato i jesień, miała maj i listopad, chwilę największego rozwoju i chwilę upadku.

Lecz czy mamy ubolewać nad tem, co mija i nie wróci? Czy zachodzi potrzeba wrywania sobie w rozpach włosów i zamywania rąk nad tą koniecznością?

Czy mamy żałować wiosny, która mija?

„Daremne żale, próżny trud,  
bezsilne złożeczenia;

przeżytych kształtów żaden cud  
nie wróci do istnienia”. (Asnyk)

Świadomość, iż dana istność zadanie swoje spełniła tak, jak na to pozwalały warunki, uwalnia nas od tych „daremnych żalów”. Nic niema wiecznego, lecz każde istnienie pozostawia po sobie ślad, który jest później czy to sygnałem ostrzegawczym, czy szlakiem, po którym należy kroczyć. W granicach naszych możliwości winniśmy dążyć do tego, aby bytowanie nasze dla potomnych było wzorem, stało się kołyską dla nowych, jaśniejszych żywotów.

K. V m.

## LAS W JESIENI.

*Szumią nagie drzew korony,  
Wiatr zerwanym liściem miota,  
A w ostępach zaczajony,  
Smutek został i tęsknota.*

*Zmilkł już ptaszek śpiew radosny,  
Co ożywiał gąszcze leśne,  
Teraz wichru szum żałosny,  
Echem smutku brzmi boleśnie.*

*Las przenika tuman mglisty,  
Brzozy ronią łzę pokutną,  
Rosa perli mech srebrzysty,  
Wkoło szaro — pusto — smutno.*

Z. III m.

## ZADUSZKI.

Deszcz mżył od rana. Na ulicach widniały gęsto rozrzucone kałuże błota.

Za miastem, na pagórku, wśród okrytych barwnem liściem drzew, widniało miasto umarłych. Do bramy tego miasta zdążył tłum... w powietrzu przesiąkniętem parą wodną, rozbrzmiewały jakimś żalonym jękiem głosy dzwonów.

Szli... by złączyć się niejako z cieniami swych bliskich, by oddać im cześć, by móc ulżyć swemu sercu, przez wylanie łez, by zewnętrznie stwierdzić swą wiarę w nieśmiertelność duszy, w istnienie życia pozagrobowego.

Biała brama cmentarna przyjęła tłumy, które wnet rozproszyły się po cmentarzysku.

Rozległy się płacze — zawodzenia... tylko... przy ich grobie nie płakał nikt!...

Tylko oni, śpiący snem bohaterów, byli członkowie organizacji P. W... oni, którzy z śmiałym wejrzeniem szli na rozstrzelanie przez Niemców... oni nie chcieli, by nad nimi płakano.

Nie chcieli łez.

Oni... spali snem wiecznym, dumni, że z krwi ich, dołączonej do ofiar innych, powstała wyśniona w snach dzieciennych Polska.

Nad grobem trzech bohaterów — ofiar buty i zuchwalstwa niemieckiego — trzymała straż organizacja strzelecka, organizacja tych, którzy pierwsi stanęli do walki o wolność Polski.

Czterech synów ludu polskiego trzymało straż. W twarzych ich spojrzaniach widać było gotowość do nowych ofiar dla Ojczyzny.

Nad grobem Poległych wygłosił mowę miejscowy komendant strzelca, oraz ksiądz prałat, który bohaterów tych przed rozstrzelaniem pojednał z Bogiem.

...„Z uśmiechem szli na ten pagórek, który widzicie tam. Nie płakali. Choć ja, kapłan, ja, który nieraz widziałem śmierć, wten czas płakałem.

I teraz płakać mi się chce, gdy widzę, że niemasz w Narodzie naszym zgody, że niemasz zrozumienia ofiar, z których powstała nasza Polska“...

Mową, wygłoszoną od serca, porwał czcigodny kapłan nas młodych i zmusił do wejrzenia w głąb swych sumień, do ich roztrząśnienia i powzięcia postanowienia, że życiem naszym zawsze będziemy służyli Ojczyźnie.

Dzieląc się temi wrażeniami z czytelnikami Młodej Myśli, kończę okrzykiem:

Cześć poległym bohaterom naszym!

Cześć tym, którzy prowadzili nas i prowadzą po laury zwycięstwa i chwały!

Jerzy Łazur.

## Wycieczka do Łap

Po licznych prośbach, skierowanych do naszej pani profesorki fizyki, by urządzić wycieczkę do Łap, celem zwiedzenia tamtejszych warsztatów, głównie zaś odlewni, pozwolenie otrzymaliśmy i „koedukacyjnie” t. zn. IV m. i IV ż. w dniu 23/IX wyruszyliśmy do rodzinnego miejsca znanego w naszej szkole kolegi filozofa Anatoljusza.

Na wycieczkę prócz p. prof. fizyki pojechali pp. prof. Młyński i wychowawca internatu p. Chojnacki.

Najwięcej kłopotu miał z nami biedny skarbnik (nie daj Boże być skarbnikiem) kol. Prystoom, na ręce którego wycieczkowicze winni byli złożyć po 1 zł. 40 gr. jako należność za przejazd koleją.

O godz. 9-tej rano znaleźliśmy się na dworcu. Tu, wykupiwszy bilety, w parach udaliśmy się do specjalnie dla nas przeznaczonych wagonów.

Wagon większy zajęły koleżanki, brat męska z pp. prof. Młyńskim i p. wychow. Chojnackim wsiadła do mniejszego wagonu.

Gwizdek... ryk... szum... jakieś tra, tra, tradom—pojechaliśmy. W przedziale męskim chór ze znanymi na terenie naszej szkoły artystami, Bujalskim i Szubzdą na czele, wykonał szereg wcale udatnych śpiewów.

W międzyczasie „Maciuś”, i kooperatysta Józik zawzięcie łapali rzucane przez koleżanki, drobniutko darte papierki. Co ten sport im dawał, nie wiem, ale że się bawili dobrze, mówiły o tem ich roześmiane twarze.

Zmęczeni śpiewem koledzy zajęli się obserwowaniem widoków, migających w oknach wagonu.

— Jasiek! Jasiek, patrzno tu. Widzisz?

— Widzę.

— No i co myślisz?

— Ano widocznie blisko Łapy, jeżeli „wróbli” tyle na drzewach.

— Patrz, patrz, mistrz jedzie na czółnie.

Przed oczyma patrzących przesuwał się powoli widok Narwi.

— Skądby mistrz? Widziałem go przecież rano, jak ze zmarszczonem obliczem zawzięcie dysputował z naszym Leonidasem na temat: mgławice a internatowe śniadania.

Przy innem oknie koledzy wysławiali naszą panią prof. fizyki. Wiesz, Czesiek, jaby nie wytrzymał z taką „hołotką”, jak nasza brać. Mowy też niema, ażeby jeszcze trudił się urządzeniem wycieczki.

Pani prof. natomiast, nie szczędząc zachodu, doprowadziła ją do skutku. Zrobiła nam przyjemność nielada.

— Musimy się jakoś odwdzięczyć. Ja w tem—zawzięcie gestylując, mówił Wacek.

— Łapy! Łapy!—rozległ się stentorowy głos kontuktora.

Wysiedliśmy i w parach przeszliśmy na peron.

— Karol! Karol! Widzisz tamtą panienkę?—szeptał posiadacz roweru z fabryki Kruppa.

— Wiesz, ja ją znam. Jest to siostra „Pigmeja”.

— Aha!—niczego dziewucha—skonstatował Karol i ze stoicyzmem (kierunek ów spowodował—tak się przynajmniej u nas mówi—że włosy jego, t. j. Karola, zawsze stoją „dęba”) począł oglądać napis na budynku stacji „Łapy”.

— Proszę się ustawiać w pary—dał się słyszeć dźwięczny głos pani profesorki—idziemy do warsztatów!

— Jedna, dwie, trzy, cztery... liczył p. prof. Młyński.

— Są wszyscy. Możemy iść.

Zaczęliśmy zwiedzanie od odlewni.

Zaznajomiliśmy się tu wyrobem form, odlewów, przetapianiem rudy.

W międzyczasie kolega, uprawiający gimnastykę systemem janowskim, popisował się podnoszeniem ciężaru dwupudowego.

Po dokładnem obejrzeniu odlewni wróciliśmy do naszych wagonów na śniadanie.

— Wiesz, te jajka wcale niezłe. Chlebek też niczego — zauważył Czesiek. — Nie byłoby jednakże źle, gdyby internat był nam dał potrójne porcje—dodał Ludwik.

W międzyczasie część wycieczkowiczów udała się do miasta, skąd wróciła obładowana śliwkami. Nastąpiło uroczyste powitanie, poczem zabrano się do konsumowania przyniesionego specjału. Na zakończenie uczył mistrz Ludwik popisował się wykonaniem utworu muzycznego własnej kompozycji, składającego się przeważnie z ósemek, szesnastek, a nawet trzydziestodwojek jako wartości nutowych (mistrz wszystko potrafi).

— Proszę ustawiać się w pary!—rozległ się głos p. Młyńskiego.

— Idziemy zwiedzać dalszą część warsztatów!

Jedna, dwie, trzy, cztery... pary, są wszyscy. Idziemy!

— Adam! Adam! patrzno! Bez jednej nogi i jak świetnie jedzie na rowerze!



Przed szeregami naszej wycieczki przejechał jeździec, który pomimo, iż nie miał nogi, doskonale trzymał się na rowerze.

Kotłownia. Gwizd, szum, zgrzyt stuk młotków automatycznych, że aż nieprzyzwyczajonym do tego wycieczkowiczom trudno wytrzymać w tej atmosferze.

Przechodzimy do kuźni. Szereg młotów, poruszanych, parą, rzuca się nam w oczy. Pracujący przy jednym z nich robotnik z całą pewnością siebie twierdzi, że można położyć głowę na kowadło, on zaś opuści młot na tyle tylko, że ten, dotknąwszy tylko włosów, nie uczyni eksperymentującemu żadnej krzywdy.

Tokarnia. Warkot, zgrzyt strugów, strugających żelazo, niezbyt przyjemnie działa na zęby niektórych kolegów i koleżanek. Pod sufitem widać mnóstwo pasów i kół, poruszających poszczególnymi tokarniami.

Wyszliśmy stamtąd, obładowani ślicznie poskręcanymi strażkami żelaza i męsiadzu.

Prócz tego zwiedziliśmy jeszcze szereg innych warsztatów, jak stolarnie, tapicernie, oraz odnawialnie wagonów.

Ileż to pracy potrzeba, zanim ku wygodzie jeżdżących koleją zostaną odpowiednio zmontowane wagony.

Mam wrażenie, że gdyby szerszy ogół zaznajomił się z tą mozolną pracą, wagony naszych kolei byłyby utrzymywane dłużej w swym początkowym stanie.

Jak daleko nam pod tym względem do kultury państw zachodnich! Smutne, lecz prawdziwe.

Oprowadzał nas bardzo sympatyczny dyrektor warsztatów.

Zmęczeni, z szumem i gwizdem w uszach, opuściliśmy warsztaty i udaliśmy się do miejscowego Ogniska i sali teatralnej.

W sali teatralnej śpiewem pożegnaliśmy p. dyrektora warsztatów.

Potem poszliśmy zwiedzić świeżo wybudowany w stylu romańskim kościół.

— Hieronim, a masz ty szkicownik?

— Był, ale „wyszedł“.

— Oj, dostaniemy „klepanie po karkach“ od p. prof. ryneków, jeżeli nie przewieziemy z wycieczki szkiców.

Kilku kolegów, mając szkicowniki, cośnecoś szkicowało. Bardzo mało wprawdzie były te szkice zgodne z rzeczywistością, rysujący jednakże z miną artystów przyglądali się swej pracy.

W kościele odśpiewaliśmy „Pod twą obronę“. Dźwięczny, pełny sopran koleżanki Honorki dodatnio wybijał się ponad inne głosy.

Następnie wróciliśmy na dworzec.

Ponieważ było jeszcze trochę czasu, trzy koleżanki, oraz Wacek, Józik i Janek udali się do miasta po śliwki.

— Koleżanko! jak pragnę wolności — mówił z miną „drzemantla“, kol. Józik — takich śliwek jak te, które sprzedaje tamta kobieta, trudno dostać nawet w Białymstoku. A co najważniejsze: tanio bierze i dobrze waży.

— Kolego — a to zaprowadźcie nas do niej, — zawtórowały trzy dyszkanciki koleżanek.

— Idziemy!

Koleżanki kupiły śliwek, wsypały je do czapki (czapka dla sztubaka to nieoceniony wprost sprzęt: i buty można nią wyczyścić i wody się napić i śliwki złożyć.. czego to przy pomocy czapki nie można dokonać!) i ruszyły z powrotem. Czas był wielki, gdyż pociąg za chwilę odchodził.

Odjazd. Bractwo przez całą drogę śpiewa, że aż szyby drżą. Czego też nie śpiewano! I piosenki żołnierskie i dumki ukraińskie, a nawet „poważne utwory klasowych mistrzów“.

Zmęczeni wysiedliśmy w Białymstoku na peron, skąd „nieodwołalnie“ w parach udaliśmy się do szkoły.

— Komendant — słuchajno! Jakby tu podziękować naszej pani za tak miłą wycieczkę?

— A no zaśpiewamy „Niech żyje“, a nadto podziękuję przodownik, resztę podziękowań złożymy, jeżeli się nam uda, na lekcji.

— A możeby podrzucić panią do góry? — poddał myśl Kacik.

— Daj spokój, że też ty zawsze dziecinnie myślisz — przerwał Komendant.

W drodze eksterniści, a z nimi przodownik, udali się do domów. Temu też należy przypisać, że szeroko omawianego przedtem śpiewu nie było.

Natomiast przed gmachem szkoły podziękowaliśmy „słownie“ p. profesorce za trudy, podzieliliśmy się z nią naszymi wrażeniami z wycieczki i udaliśmy się na obiad.

Podobno tak smaczny jak ten nie był dotąd żaden obiad w internacie.

Jerzy Łazur.

## „Nasz Jasio“.

### Obrazek z życia szkolnego.

Wschodzące słońce oświeciło furtkę szkoły. Prześlicznie wyglądały kiście dzikiego wina, zwisające z parkanu, w grze tęczy promieni, rzucanych przez tarczę słoneczną, która wychyliła się z poza rozłożystych drzew ogrodu miejskiego. Przy

furtce stał młodzieniec w czapce seminaryjnej i zawzięcie dzwonił. Po chwili z dziedzińca szkolnego odezwał się zaspany głos stróża: Nu! a kto tam?—Ze świąt—odpowiedział Janek i, zebrawszy walizy, wszedł w podwórze szkoły.—A to pan, panie Janku! Nu i jakże przeszły panu święta Wielkiejnocy? — A ot, dobrze się wyspałem, odżywiłem się i pełen nowych chęci wracam do pracy. Ale, panie Walenty, puśćno pan mnie do internatu.—Nu! takby wpuścił, tylko, że władza ma klucze. Ot niech pan poczeka pod zegarem, a o 6-tej, jak wstaną w internacie, tak i pana do środka wpuszczą. — A bodaj cie! — podrapał się Janek w płową czuprynę i, wziąwszy walizy, poszedł pod zegar.—Ale, ot musi chyba pan nieść przynajmniej połowę świniaka, bo też zapach kiełbasy aż w nosie kręci — zagadnął domyślny stróż. Uśmiechnął się Janek i, pogładziwszy się po obrastającej włosom brodzie, rzekł:—Ano trochę zapakowali mi do walizy w domu, ale co to znaczy dla młodego człowieka? — Nu, tak wiadomo. Jak ja był w pauza wieku, to trzy funty kiełbasy i dwa chleba, jak nic, zjadał, na dodanie sobie apetytu, przed obiadem. Tu westchnął starowina, zaciągnął węzeł chustki, którą miał okręconą głowę, i poszedł na ławkę, stojącą przy piwnicy, gdzie zwykle siedział, skracając od czasu do czasu drzemką długie godziny nocnego stróżowania. Janek, siadłszy na ławce pod zegarem, chciał początkowo nieco się zdrzemnąć, jednakże nawał wrażeń świątecznych sprawił, iż ująwszy głowę w dłonie, oddał się myślom. Wkońcu otrząsnął się z marzeń, wstał, rozprostował swe niezbyt muskularne ramiona i wyszedł na dwór, by zaczerpnąć powietrza i obejrzeć niewidziane dość długo obejście szkoły. Wychodząc, zatrzymał się przy termometrze. Było 6° wyżej zera. — Ano, jeszcze niezbyt ciepło — mruknął do siebie. Następnie wzrok jego padł na napis „Wejście do Seminarjum” i na rozłożyste warkocze dzikiego wina, zwisającego z drabinek zawieszonych na ścianie gmachu seminaryjnego. Budynek jedno-piętrowy, stojący nawprost wejścia do Seminarjum, wzbudził w Janku wspomnienie przebytej choroby płuc. W budynku tym mieścił się szpitalik internatu. W oknach pierwszego piętra gmachu seminaryjnego widać było światło lampki elektrycznej, która oświecała korytarz, prowadzący do internatu. Między oficyną a skrzydłami budynku seminaryjnego znajdował się duży, prostokątny trawnik z klombem pośrodku. — Ano, będzie praca—mruczał Janek—kopanie, sadzenie, aż strach, co to z wiosną jest roboty. I to wszystko poto, aby zima miała co niszczyć w uścisku stalowych ramion mrozu...

Zwrócił się w stronę ogrodu. Parkan, odgradzający ul. Mickiewicza od szkoły, pokryty był zielenią krzewu winnego.

Gmach szkoły, z olbrzymimi oknami i odrapanymi ścianami, koloru żółtego, przypomniał mu minione czasy niewoli i ciemnienia Polski przez Moskala. Gmach dzisiejszego seminazjum budowali Rosjanie, dbając wyłącznie, zdaje się, o jego rozmiary. Wybudowali więc coś w rodzaju olbrzymich koszar, z olbrzymimi oknami, stronę estetycznego wyglądu szkoły pominąwszy. Rozłożyste kasztany, rosnące po prawej stronie idącego do ogrodu szkolnego, były już umajone liściem. Z tej strony gmachu szkolnego widać było również trawniki z klombami kwiatów i okazami najrozmaitszych gatunków drzew. Na jednym z tych trawników stała stacja meteorologiczna. Tuż pod parkanem ogrodu widać było poniszczony posąg. Posągi te zdobiły niegdyś ogród Braniczkich i, utraciwszy resztki dawnego poszanowania, służą obecnie często do ostrzenia szczyrzyków. Rozmyślając o tem, kroczył Janek do ogrodu. U wejścia zatrzymał się, by rzucić okiem na antenę, wznoszącą się na dachu szkoły.—No, może wreszcie będziemy mogli słuchać radia—westchnął z wyrzutem.

Przechadzając się po ścieżkach ogrodu, doczekał się godz. 6-ej. Koledzy internatowi, zobaczywszy go, wydali zgodne „hura!” i, otoczywszy kołem, wypytywali to o zdrowie, to o wrażenia świąteczne lub wreszcie o przywiezione zapasy. On odpowiadał na lewo i na prawo, każdemu z osobna: tu rzucił uśmiech, tam uścisk dłoni. Na kursie V koledzy jego po przywitaniach zasiedli do konsumowania przywiezionych przez Janka zapasów. W międzyczasie jeden z kolegów, po wypowiedzeniu szeregu życzeń na cześć Janka, zapytał:—Ech Janek, słuchajno! Ileżes też ty przez święta Wielkanocy ułożył statutów?—A ty to zawsze się śmiejesz—odparł zagadnięty—ale jakbyś wiedział: ułożyłem statut przechowalni scenicznej. Kolega z dużą czupryną i ładną buzią będzie mógł odtąd prawnie wydawać dekoracje i ubiory potrzebne przy wystawianych komedijkach.

— Ależ ci, jak widzę, Janku, przez święta dowcipu przybyło. — Przybyło, czy nie przybyło, ale Karol to zawsze statutami mi dokucza. — Ale wiecie, że też buzia Karola po świętach zupełnie podobna do świecącego w pełni miesiąca. Brać internacka na to porównanie zareagowała głośnym wybuchem śmiechu. Karol zaś, najspokojniej, chrupał kawał kiełbasy i chleba.—Słuchajno, Janek, wiesz co? Mamy niezadługo zawody sportowe. — Ano to stumetrówka nasza. Tu Janek zamknął walizy, zaniósł je do przechowalni, a że słychać było dzwonek, wzywający na śniadanie, więc razem z innymi udał się do jadalni. Janek przebywał w szkole od preparandy. Od preparandy również datuje się jego zamiłowanie do organizacji. W ostatnich latach był prezesem Rady Naczelnej. W pracy swej wykazał zamiłowa-

nie do systematyczności i pokochał ideę organizacji. Cieszył się z tych względów opinią poważnie myślącego chłopca.

Wzrostu był niezbyt wysokiego, siły również wiele nie miał, jednakże równego sobie w biegu nie znalazł. „Czarny” nieraz wysiłał się, by go zwyciężyć w stumetrówce, jednakże nie dorównał szybkości Jankowi.

— Słuchajno — rzekł kolega Janka, wracając z jadalni — jutro po mszy św. mamy zebranie Sodalicji. — A bodajcie! — a ja mam o 2-ej zebranie Rady Naczelnej, o 4-ej harcerstwa. I niema spokoju nawet w niedzielę! No, ale furda... parę miesięcy jeszcze i, jak Bóg da, pójdziemy na swój chleb. — Oh, gruszki to jeszcze na wierzbie, mój kochany — rzekł zaszępiły Edek. Grunt nie przejmować się więcej, niż można, dobrze się odżywiać — niestety znowu nam zmniejszyli porcję! Janek przed lekcjami zaszedł jeszcze do „Pokoju Młodzieży”. Gdy wracał, ustawiona w ewórkach młodzież obu seminarjów, męskiego i żeńskiego, czekała już na p. profesora, który intonował zwykle „Kiedy ranne wstają zorze”. Tym razem śpiew zaczął potężnym barytonem kolega Felek. Dzień zaszedł naszemu Jankowi na zajęciach szkolnych bardzo prędko.

Niedziela. Na internackim zegnrze uderzyła godz. 7 rano. Interniści, rozrzućeni w długi szereg, smacznie śpią. Nagie rozlega się głośne klaskanie gospodarza: pobudka! pobudka! wstawać! Jedni od razu wstają, inni życzą gospodarzowi, żeby go na starość tak samo budzili, inni jeszcze głośno zapewniają gospodarza, że śpią. Nasz Janek śpi naprawdę. Gospodarz, przechodząc mimo, schwylił go za nogę, poruszył na lewo i prawo i, myśląc, że to wystarczy, aby Janka obudzić, poszedł dalej. Idący z przeciwnej strony wychowawca powtórzył to samo, jednakże z takim samym, jak gospodarz, skutkiem. Kolega, prowadzący gimnastykę, głośnym gwizdaniem, wzywającem internistów na ranne ćwiczenia, również nie uwolnił Janka z objęć Morfeusza. Dopiero, gdy wychowawca i gospodarz naszego Janka, ujawszy każdy za jedną z nóg, ściągnęli z łóżka, śpioch się przebudził.

— A-a-a! to co? Taż ja się tylko co położyłem! Tak mrużąc, wziął kożuch na plecy i poszedł na gimnastykę.

O godz. 10-ej nabożeństwo. Młodzież, zebrana w parach na parterze, udała się do auli-kaplicy. Aula wyglądała ślicznie. Barwy wycinanki ludowej, umieszczonej nad sceną, oświetlone przez promienie słońca, ożywiły się. Sama scena z fisharmonją, na której grał podczas nabożeństwa jeden z p. profesorów, była również otoczona wiankiem odbitych od okien promieni słonecznych.

Ołtarz kaplicy, zalany potokiem światła, które wdzierało się do wnętrza przez sześć dużych okien i dwoje drzwi, prowa-

dzących z korytarza do auli, wyglądał tak, jakby za chwilę nań zstąpić miała Matka Boża. Janek, zapatrzony w ołtarz, zatopiony w modłach, prosił Boga o to, by w Polsce wolnej nastąpiło moralne odrodzenie i by maturoę, jaką miał przed sobą, zdał szczęśliwie. Po nabożeństwie udał się do ogrodu. Tu, siadłszy na ławce, oddał się rozmyśleniom, jak też to życie samodzielne, jakie go czekało za kilka miesięcy, będzie wyglądało? Rozumiał, że nauczyciel w Polsce ma wielkie do spełnienia zadanie. Na jego bowiem barkach spoczywa lwia część pracy około podniesienia ludu polskiego z upadku moralnego i intelektualnego.

Przez lata swego pobytu w szkole starał się zdobyć jak najwięcej wiedzy i umiejętności organizowania ciemnych mas ludu kresowego. Nasze Kresy bowiem najczęściej są terenem pracy młodego nauczyciela. A w niezbyt jasnych barwach przedstawiali tę pracę koledzy Janka, którzy zdawszy maturoę, otrzymali tam posady.

Długo tak rozmyślał Janek. Widocznie jednak czuł się już na siłach do podjęcia oczekującej go pracy, gdyż z uśmiechem na ustach wstał i ruszył w stronę Seminarjum. Przechodząc obok koleżanki B., rzucił rozpromieniony wzrok na jej pucułową twarzyczkę. Był to ideał Janka. Czuł sympatię do niej od ostatniego Ogólnego Zebrania, na którym ona szeregiem jasnych i zwięzłych zdań, dotyczących się organizacji, wykazała głębszą znajomość zasad kooperacyjnych.

Ej Janku, Janku! regulamin zabrania spoglądać tak na koleżanki — rzucił przechodzący okok Felek.

— A ty, artysto-śpiewaku, zawiń szalem szyję, bo ochrypniesz i jutro ze śpiewu „klapa” — odciął się Janek i, przyspieszwszy kroku, udał się na zebranie Rady Naczelnej. Zbliżająca się dla Janka chwila opuszczenia szkoły, budziła w kolegach, pozostających w szkole, pewien niepokój, czy znajdzie się też ktoś drugi, któryby mógł tak poprowadzić organizację, jak on. Nieraz dawało się słyszeć:

— Słuchajno, Janek. kto nam będzie statuty układał, prowadził zebrania, gdy zabraknie ciebie?

— Ee, znajdzie się i to niejedno napewno. Ja też nic nie umiałem, gdy zostałem członkiem naszej organizacji, a jednakże przez czas mego pobytu w szkole zdobyłem sporo wiadomości z zakresu kooperacji. Poszukajcie, a znajdziecie napewno takiego, który jeszcze lepiej poprowadzi nasze „U. S. S. Br. P.”, aniżeli ja. Pracą możecie wszystko zdobyć.

Janek zdał maturoę świetnie. Koledzy, którzy pozostali w szkole, nieraz stawiać go sobie mogli za wzór cichej, ale wytrwałej pracy.

## Niektóre bolączki naszej „Bratniej Pomocy”

Jesteśmy zorganizowani w jedną wielką, opartą na zasadach spółdzielczych, organizację „Bratnią Pomoc”.

Nazwa „Bratnia Pomoc” każe nam rozumieć, że głównym celem naszej organizacji jest jak najwydatniejsze pomaganie sobie wzajemne tak pod względem materialnym, jak niemniej duchowym, intelektualnym, tak w zakresie życia obecnego, ściśle szkolnego, jak i w przygotowaniu do pracy już obywatelskiej, zawodowej.

Dlaczego poruszam ten temat? Oto dlatego, że uderza mnie brak w naszej organizacji szczerego koleżeńskiego współżycia. Organizacja nasza kładzie nacisk na kształcenie obywatelskie, na wyrobienie społeczne w kierunku umiejętności organizowania życia zapadłej wsi, zwłaszcza naszych kresów wschodnich, na zrozumienie, że „w gromadzie—siła”. Za mało jednak podkreśliliśmy to, iż gromada wówczas będzie siłą, kiedy w jej łonie nie będzie obywateli, którzy pójdą w kierunku przeciwnym poczynaniom gromady.

Na to organizacja nasza stanowczo za mało zwraca uwagi. Prawda, że życie szkolne samo przez się nas łączy. Łączy nas ława szkolna. Na kursach można nawet spotkać szczerzy, serdeczny stosunek między dwoma lub trzema kolegami czy koleżankami. Poza tem, niestety, przeważnie „każdy sobie rzepkę skrobie”. Za wiele myślimy o sobie, za mało udzielamy się innym! Obserwując życie kursowe, niejednokrotnie widziałem, że ten lub ów słabszy kolega od kolegów, w danej nauce bardziej zaawansowanych, nie doznał pomocy, że kolega zdolny, więcej od innych umiejący, poprostu stara się umieć dla siebie. Wiem, przeczuwam, że niejeden z kolegów i niejedna z koleżanek, nie wgłębiwszy się w nasze życie, powie, że tak nie jest.

Ja jednakże podaję opisany powyżej objaw jako fakt przeze mnie stwierdzony.

Sprawa ta winna być na kursach omówiona, zgłębiona należycie, oraz doprowadzić do takich czy innych wniosków.

Nauczyciele, jako ci, którzy dźwigają na swych barkach odpowiedzialność za wychowanie, za kulturę narodu, muszą być z sobą zżyci, muszą być zgodną gromadą, by zadaniu swemu podolać.

Organizacja nasza wspiera pod względem materialnym jednostki biedniejsze, dając im możliwość zaciągania pożyczek, wypożyczania podręczników, skrzypiec, wydawanie drugich śniadań, oraz nieznaczących zapomóg.

Ale przecież pożyczający musi pożyczkę zwrócić — a jeżeli nie może?

Za towar musi płacić w sklepiku—a jeżeli nie jest w stanie? Wypożyczając podręczniki, musi płacić odpowiedni procent—a jeżeli nie ma z czego?

Czyż w „Bratniej Pomocy” winien mieć miejsce objaw, jaki obserwowaliśmy?

Jeden z naszych kolegów, nie mający środków na kupienie mundur szkolnego, musiał cały szereg lekcyj opuszczać. Sprawa ta, mam wrażenie, godna jest, by się nad nią poważnie zastanowić.

Inną bolączką naszą jest to, że nie jesteśmy karni. Tak, nie jesteśmy karni! Nie umiemy szanować własnych uchwał. Słyszeć się nieraz daje:—Pozwolono nam się bawić w organizacje, uchwały nasze tyle znaczą i tak są traktowane, jak uchwały dzieci!

Skarżymy się, bo nie rozumiemy, dlaczego tak jest. Nie staramy się poznać naszego postępowania. Do pracy, Koledzy i Koleżanki! Do pracy natychmiastowej! Podajmy wraz dłonie i razem dobądźmy swe siły!—napewno wtedy skargi powyższe staną się bezprzedmiotowe.

Chcę jeszcze powiedzieć kilka słów, dotyczących Rady Naczelnej i Zarządu Głównego.

Są to bowiem sprężyny, wprowadzające w ruch całą naszą organizację.

W większości wypadków takie czy inne zmiany wychodzą od wyżej wspomnianych władz naczelných. Może to i dobrze. Jedno mi się atoli nie podoba. Widzę, że ogół młodzieży naszej szkoły, poza Walnem Zebraniem, za mało, stanowczo za mało współpracuje i mało wie o poczynaniach swych Zarządów.

Jak temu zaradzić, narazie nie mam projektu, jednakże mniemam, że gdyby nad tem pomyślał ogół, radaby się znalazła.

Artykuł niniejszy oddaję pod dyskusję naszego ogółu.

Może niektóre z wytkniętych w nim naszych wad odmalowałem zbyt czarno, kierowałem się jednak tem głębokiem przeświadczeniem, że usunięcie ich wiele dobrego przyniosłoby naszej organizacji.

Chciałbym, by koledzy i koleżanki, uznawszy artykuł mój za „pobożne gadanie”, nie przeszli mimo to nad nim do porządku dziennego, lecz odpowiednio nań zareagowali. *Jerzy Lazur.*

## Wspomnienie pośmiertne.

Czemże jest życie wobec powagi śmierci?

Czem jest byt i śmierć sama, która przychodzi i zabiera człowieka bez względu na wiek i stanowisko?

Nic nie wstrząsa tak człowiekiem, jak śmierć, i nic nie przeraża z równą siłą, jak myśl, że oto osoba, z którą się niedawno obcowało i przeżywało wiele chwil, zarówno dobrych jak i złych, leży teraz przed nami martwa, pełna powagi i ciszy śmiertelnej, z ostatniem cierpieniem, zastygłem na twarzy.

We wrześniu tego roku, w jeden z pięknych jesiennych dni, odprowadzaliśmy na miejsce wiecznego odpoczynku ś. p. koleżankę naszą, Walę Krauzównę. Zmarła należała do tych istot, które rwały się do życia, zawsze pełne planów na przyszłość; żywa jak iskra, pogodna, wytwarzała naokoło siebie atmosferę pełną serdeczności i wesela. Niosła z sobą optymizm wrodzony. Wrażliwa na piękno przyrody i muzyki, uważała, że życie wogóle jest piękne, tylko ludzie nie umieją wczuć się w jego tętno, zrozumieć go głębiej, nie umieją żyć.

Ale, niestety, cierpienie nikogo nie przeoczy, życie lubi mścić się często za każdy uśmiech, skierowany przeciw jego surowości—przyszła kolej i na ś. p. Walę. Nawet w chorobie, jeszcze na trzy tygodnie przed śmiercią, pragnęła życia, chciała go całą siłą swej słabnącej woli i świadomości; myślała o święcie, jakie nastanie w domu jej rodziców, kiedy ozdrowiawszy, będzie mogła w dzień skończenia siedemnastu lat przyjąć życzenia od najbliższych—tymczasem właśnie moment największego wzmaganiasię organizmu z chorobą i jej zwycięstwo przypadły na ten dzień.

O czem wtedy myślała i czy zdawała sobie sprawę ze stanu w jakim się zmarła znajdowała, któż odgadnie. To tylko wiadomo, że w ostatnich dniach błagała, by skrócono jej cierpienia. Prosiła już o śmierć, jako o najwyższe dobro, wzywała ją jak przyjaciela, w ciężkiem szamotaniu się, jak przyjaciela, który dla innych straszny, jej mógł dać tylko ukojenie i zapomnienie.

I przyszła śmierć... zabrał ją... jak swoją własność. I taką cichość wielką rozlała na jej, twarzy, taki zagadkowy, napół skrzywiony uśmiech zostawiła na ustach.

A kiedyśmy przyszli ją żegnać, już nie błyszczącemi przywitała nas oczyma, nie pytała, jak niegdyś, o koleżanki, o szkołę, lecz wyniosła i wielka leżała przed nami, uśpiona na zawsze i otoczona powagą śmierci.

Bezwiednie u jej trumny białej cisnęły się nam na usta słowa: czy to już wszystko, czy na tem kończy się istnienie wogóle?

Nie!—z całą pewnością nie!

Oto 17 „wiosen” — wiek najpiękniejszych wlotów, najsilniejszych porywów, przerwany został jednym, szerokim zamachem. Za to, że odwołano ją z ziemi, na której widziała wiele

piękna, za to, że trzeba było umrzeć, chociaż żyć chciała, za to wreszcie, że cierpiała w chorobie, jak tylko człowiek cierpieć może—spotka ją nagroda.

Gdzie dzisiaj duch jej, nie wiemy, lecz wierzymy, że jest.

Życie nie kończy się na akcie skonania; duch, który przez szereg lat tęskni za Dobrem szuka wyśnionego ideału Prawdy i Piękna, może właśnie po śmierci znajduje swą właściwą ścieżką i zaspokojenie, może tam, w zaświaty nie dochodzą odgłosy tej szalonej pogoni za szczęściem, tych wysiłków łez i bólu, jakich tyle na ziemi.

A więc śpij Ty, dziewczeczko dostojna, któraś pierwsza z naszego młodego grona uchyliła zasłonę śmierci i przeszła do innego życia.

Możeś Ty najgodniejsza z nas była tego królestwa ducha, w którym teraz bytujesz.

Śpij Ty kwiecie nasz biały. Niech ci się śni ziemia i to, coś na niej ukochała.

Sypiemy ci całe kaskady kwiatów na grób, by cię otuliły i z tobą razem zostały.

Nas życie dalej woła, a Ty leż w swej mogile, dziewczę gorącej duszy, i snij niedokończony poemat swego życia.

## Moja pierwsza lekcja.

Wiesz, Czechu, że mam jutro lekcję w ćwiczeniówce?

— Pierwszy raz słyszę. Oho, bracie, trzymaj się, bo jak „sfujarzysz“, będzie kiepsko. Zresztą, ostatecznie, wszystko bagatela w stosunku do wieczności. Ja też miałem pierwszą lekcję praktyczną — tu mój kolega zatrzymał rwący potok swej elokwencji, jakby coś nadzwyczajnego był powiedział. A wszak żaden kandydat do stanu nauczycielskiego chyba nie rozpoczął swej praktyki pedagogicznej od drugiej lekcji! — Udało mi się nieźle—wywodził dalej koleżka — grunt nie przejmować się więcej, niż należy.

Takie powiedzenie skończonego nauczyciela wlało we mnie więcej nadziei na przyszłość, niż perspektywa otrzymania na półroczne „dwójki“ z muzyki, której uniknąć właśnie nie miałem nadziei.

— Jakoś to będzie—pocieszałem się, jak mogłem. Ale właśnie byłem okrutnie ciekawy, jak to właśnie będzie?

— Hm — puściłem cugle mej wyobraźni — stać na środku klasy—przepraszam!—przed klasą—i nie wiedzieć np.—a liczyłem się z tą ewentualnością—gdzie ręce wsadzić, to jakoś niebardzo mi się uśmiecha; ale zresztą z rękami—rozumowałem dalej—to jeszcze pół biedy: nie ja pierwszy nie będę wiedział, co z nie-

mi zrobić; przecież i Rejent w „Panu Tadeuszu“ wpakował obie do jednej kieszeni—ja zaś mam pięć kieszeni w marynarce i trzy w spodniach! — to jakoś to będzie. Sprawę jeszcze pogarszała ta okoliczność, że akurat wypadło jutro 13-go, a więc feralny dzień. Grzech wierzyć w zabobony, ale gdy ktoś ma prowadzić pierwszą w swem życiu wzorową lekcję i to 13-go—brrrr!... strach wspomnieć!

Rano zrywam się z łóżka i wrzeszczę, jak opętany, że mi się śniło... no zgadnijcie, koledzy, co mi się śniło?—nikt?

— A licho wie, co ci się śniło — słyszę dokoła niechętnie pomruki — może Maryla Mickiewiczowa? Czuję się oburzony! — Co mi tam Maryla! Otóż, śniło mi się, że prowadziłem lekcję w ćwiczeniówce. Skoro tylko pokazałem obraz, od razu dzieci powiedziały, że to jest pole; ja zaś zaraz przeprowadziłem analizę tego wyrazu—o to właśnie chodziło—i wyodrębniłem dźwięk „p“. Świetnie mi się to udało—we śnie. Oby Bóg dał, aby tak gładko poszło i w rzeczywistości. Słyszałem słowa pociechy: — Ma się rozumieć, że pójdzie; przecież nie ty jeden masz lekcję, bo Rysiek także. To mnie właśnie najwięcej pocieszało, że i Rysiek ma również przeprowadzić w następnym oddziale taką samą lekcję.—Hm! kto wie—nuż się uda mnie, a jemu... I tu zaczęły mnie nachodzić myśli brzydkie, egoistyczne.

Wreszcie nadeszła feralna godzina. Przygotowałem wszystko do lekcji, jak należy: obraz, kredę, zeszyty nawet. Dzwonek. Dzieci stają przed drzwiami, a ja na ich czele. Koledzy moi zajmują swe zwykłe miejsca i jakoś się dziwne uśmiechają. Zdążyłem zauważyć, że na mojem miejscu pod piecem siedzi Lucy i jakoś niepokojąco kiwa głową. W ostatniej chwili podbiega do mnie „bakcyl“ i wciska mi do ręki jakąś karteczkę. Patrząc stoją jakieś kropki a u góry napis: Hala, Henio, Tadzio, Oleńka, Kocio — domyślam się co ta ma oznaczać. Naprawdę, Kochany „bakcyl“!...

Każę dzieciom wejść do klasy i stanąć przy stolikach.

— Baczość! — krzyknąłem jakimś nienaturalnym głosem— oddychanie! Dzieci zaczęły wciągać powietrze nosem, że aż świst powstawał. Pomyślałem sobie, że maleństwa nie tak oddychają, jak my na naszym kursie: na raty. Ja, dla utrzymania powagi, wsadzam jedną rękę do kieszeni i rozpoczynam lekcję:

— Czy przyjemnie jest latem?

— Tak! tak! proszę pana.

— A dlaczego?

— Bo można wygrzać się na słończku.

Hm!—myślę sobie — dobre słończko, tyle tysięcy razy większe od ziemi, a ten mikrus chce się wygrzać „na słończku“. No

tak, Kepler, Newton... to rozumiem — dobrze się ogrzali, to też jest nam nieraz gorąco, gdy na lekcji o nich mowa, a my nie wiemy, co o nich powiedzieć.

— No dobrze — ciągnę dalej, a myślę o czemś innem, bo w rzeczywistości nie zanośli się na dobre: wyraz „pole“ mógł bowiem wcale „nie wystąpić“, więc kombinuję, jakby to dzieciom ów wyraz podsunąć. Zapytuje więc: — A co dzieci widziały na polu? Słyszę odpowiedź: — Kwiateczki, proszę pana.

— A ja widziałem kolej!

Ogarnął mnie lęk. Co? Kolej na polu? A może zaraz powie, że ziemniaki ludzie wożą do piwnic koleją! Jak tonący deski, chwytam się pierwszej odpowiedzi:

— Tak! tak! rosna tam, rosna właśnie kwiatki, kwiateczki... właśnie... rosna...

I żyto proszę pana.

Tak, tak: i żyto rośnie i... — tu nie wiem, co powiedzieć. Spoglądam na Heńka, który miał w sposób umówiony w krytycznej chwili śpieszyć z pomocą. Niestety! Zawiódł! Teraz siedzi i uśmiecha się... i to kolega!... Poznaj przyjaciela w biedzie— święta prawda.

Co zrobić? Nadzieja, matka głupich — no tak, ale ja chyba nie jestem tak bardzo głupi, przeciwnie, ktoś mię nawet nazwał „dość mądrym“. Nie tracę tedy jeszcze nadziei i uciekam się do obrazka.

— Teraz wam dzieci coś pokażę—głoszę obiecująco i wiem właśnie to „coś“ na tablicy.

— Przypatrzcie się, dzieci, dobrze temu obrazkowi. Co widzicie? Chwila milczenia. Nagle, jak grom z jasnego nieba, spada na mą zakłopotaną głowę odpowiedź:

— Wodę i łódkę — proszę pana.

— Tak! tak! łódkę, a jedna przewrócona — podchwytuje drugie dziecko.

— Coooo? Matko Jez... Czy mię wzrok myli, gdzież tu łódkę?! Przecieram szkła. A może ten Romek jakiego figla mi spłatał? Chyba nie, boć zapłaciłem mu dobrze za wymalowanie obrazu. Miał namalować żyto i drogę—przecieram coraz mocniej szkła i najwyraźniej widzę pole.

— Idź i przyjrzyj się zbliska! — rozkazuję jednemu z dzieci.

— Nie, proszę pana, to jest miasteczko, a to jest młyneczek i dom.

Hm! dobry młyneczek — myślę sobie. Nagle jakieś maleństwo krzyczy:

— Ależ proszę pana, ja wyraźnie widzą wodę i łódkę. — A niech cię Pan Bóg ma w swej opiece, mały krabiel!

Nie daję się jednakże zbić z tropu i udaję, że nie słyszę.  
— Jakie to są domki? — rzucam rozpaczliwe pytanie.

Nagle jedno z dzieci, z ostatniej ławki, woła na cały głos:  
— To pole, proszę pana!

Uśmiech szczęścia zakwitł na mych ustach, twarz mi się rozjaśniła — mówili mi to koledzy — byłem w siódmym niebie. Wzrok mój, pełen wdzięczności, padł na kolegów i pomyślałem sobie: jakie to mądre dziecko i jacy to kochani koledzy!

Dalej lekcja poszła jak z płatka.

J. W. V. m

## Echa „Bez tytułu“.

— Ach moja droga! Czytałaś „Bez tytułu“?

— Och! tak. Co za bezczelność! No a może on nie o nas myślał, pisząc te głupstwa?

— Moja kochana, już ja go znam. Powiedz, powiedz, najdroższa Albinko, czyż nie koloryzuje świadomie?!

— A może jest pod wpływem cudowności, zawartych w balladach Mickiewicza? — odrzekła Albinka.

— Słuchajno, Marysiu—woła Wanda—ależ autor „Bez tytułu“ naprawdę „młodo myśli“. Skądże mu do głowy przyszło, że chodzące na zespół koleżanki się pudrują?! W naszych warunkach jest to stanowczo wykluczone, Geniu, on ma tu źle—stukając się w głowę, mówiła z ogniem w oczach i świętem oburzeniem kol. Zosia. — Skądże on wie, o czym my myślimy?

— Naczytał się zapewne jakichś romansidel i pod ich wpływem po napisywał głupstw.

— Albo taki „fajtlapa“ jak on, może coś wiedzieć i pisać o sporcie—dodała Stasia? Wiesz, Janko, że on siebie zupełnie dobrze scharakteryzował w II-jej części swego pisania: wiejski chłopak, pasący w młodości... na nic lepszego zdobyć się nie mógł, rzecz zupełnie zrozumiała—z mocno zagniewanym wyrazem twarzy dodała Irka

— Na to placę 45 gr. miesięcznie, żeby mnie krytykowali? Podobnych artykułów jak „Bez tytułu“ lepiej nie umieszczać w naszym piśmie. Wywołują bowiem tylko niepotrzebne tarcie i kwasy w naszym małym społeczeństwie..

— Czego to się jeszcze nie słyszało w poniedziałek po rozdaniu „Młodej Myśli“!

Ja odniosłem wrażenie, że artykuł „Bez tytułu“ nie zawiera w sobie nic mądrego, natomiast przesycony jest zupełnie nieuzasadnioną złośliwością w stosunku do koleżanek i Bogu ducha winnych sportowców.

Zabieram głos w sprawie tego artykułu dlatego, że ktoś, czytający „Młodą Myśl“, a nie znający naszego rzeczywistego życia szkolnego, mógłby fantazje Kotłowskiego przyjmować serio. Ciekawy jestem, czy nasz dowcipny autor-satyryk jest również zdolny i posiada równą łatwość wystawiania się w innych okolicznościach! Jeżeli nie, to niech raczej zaprzestanie pisania artykułów, wywołujących oburzenie wśród większości naszych kolegów i koleżanek.

Jerzy Lazur.